

NR. 13. LWÓW 16. PAŹDZIERNIKA 1870 R. ROK I.

WŁADYSŁAW SABOWSKI,

(WOŁODY SKIBA).

—

Młody bo zaledwie trzydzieści kilka lat liczący, pełen siły i energji pisarz ten rokuje wielkie nadzieje. Dotychczasowe prace jego zjednały mu juz poważne stanowisko w literaturze. Wszakże nie pochwały pisać, ale zanotować wypada nam na tem miejscu co on zdziałał dla narodu i czego się po nim spodziewać, a właściwie czego wymagać mamy prawo.

Kiedy w 31 roku cała inteligencja narodu przeniosła się na emigrację, kiedy tam się znaleźli Mickiewicz, Lelewel. Mochnacki i wszystkie znakomitości literackie i naukowe, oraz kiedy i młodzież tam wyszła i tam dopiero z niej się wyrabiali pisarze, kraj t. j. ta część Polski, która zawsze stanowiła i stanowić będzie o losach narodu, pozostał w ciszy i były obawy aby Moskwa nie wywarła potężnego wpływu na dorastające pokolenia, tak okropnie pozbawione duchowego przewodnictwa starszej braci, od której tylko kiedy niekiedy, ukradkiem. pod grozą Sybiru i katorgi dostawały się dzieła. W tym czasie znalazł się mąż, obdarzony silną wolą i wielkim talentem, który pojął czego naród potrzebuje i stworzył literaturę nową, która rychło się rozwielmożniła w kraju i wyparła z niego to wszystko co było szkodliwem dla ducha narodowego. Tuzinami tłumaczone romanse francuzkie, angielskie i niemieckie, jak nie pyszne musiały ustąpić przed zapełniającemi się półkami księgarskiemi utworami tego męża silnego i nie leżały tam, lecz rozrywane przez publiczność, przesiękały w krew naszą i nie dały nam wyrodzić się.



WŁADYSŁAW SABOWSKI.

Tym mężem był znany powszechnie J. I. Kraszewski.

Wszakże byli i inni pisarze, którzy pisali piękniejsze powieści od Kraszewskiego, jeżeli tu wspomnimy o *Listopadzie*, *Zamku krakowskim*, *Tadeuszu Bezimiennym* i t. d., żaden z nich jednak ani tak nie zrozumiał potrzeb narodu, ani

potrafił tak rozgrzać serc, zachęcić do czytania, słowem stać się tak popularnym i przez tę popularność tak silny wywierać wpływ. Jeżeli w tym wpływie upatrują ludzie ujemne strony, to nie może nikt zaprzeczyć stron dodatnich olbrzymiej wagi. Kraszewski nie był tylko powieściopisarzem, był on obok tego publicystą, historykiem, wszystkiem. Najwięcej pisał powieści bo tem najwięcej zjednywał sobie czytelników.

Czem był Kraszewski przed laty trzydziestu tam jest dzisiaj Sabowski.

Wprawdzie zupełnie inne dziś okoliczności. Na straży skarbów języka i ducha narodowego stoi dziś siedemdziesiąt przeszło pism, widzimy wiele zjawiających się nowych dzieł, widzimy w działaniu wiele towarzystw i t. d

Wszakże zaglądnijmy do tych pism, a spotkamy się w każdem z pracami Sabowskiego, przejrzyjmy te wychodzące dzieła a znajdziemy pomiędzy niemi przewagę Sabowskiego prac, spotykamy go raz wraz redaktorem tego lub owego pisma. Jeżeli wezmiemy pod rachunek co płodny ten pisarz produkuje to przekonamy się, że przechodzi on płodnością Kraszewskiego z dawnych lat kiedy ten najwięcej pisał, ale w czem leży główna zasługa Sabowskiego, co dzieła jego czyni najwięcej ponętnemi dla publiczności, to zrozumienie chwili, odgadnięcie potrzeb narodowych, umiejętność pochwycenia ujemnych i dodatnich stron dzisiejszego społeczeństwa, wyrzucanie na wierz, że się tak wyrazimy, tego z czego społeczeństwo wyleczyć się potrzebuje. Kraszewski wpoił w nas miłość ziemi rodzinnej, zamiłowanie do wszystkiego co stanowi Ojczyznę. Przed Sabowskim leży zadanie zrobić nas mężami. Sabowskiego powieści nie mają tego co stanowi największą okrasę powieści Kraszewskiego, opisów ziemi rodzinnej, on studjuje charaktery i bohaterowie jego są mężami silnymi, pełnymi energji.

Wprawdzie powieści Sabowskiego nie mają tego wykończenia jakie spotkać można w powieściach Jeża lub Zacharjasiewicza, którzy więcej czasu poświęcają na opracowanie swych płodów, Sabowski tworzy plan w mgnieniu oka i zaraz przelewa go na papier, w tem też upatrujemy podobieństwo między działalnością jego i Kraszewskiego, że mu nie idzie o stworzenie arcydzieła, ale o dopięcie celu, o wpływ na społeczeństwo.

Sabowski również nie jest powieściopisarzem jest to tylko jedna z form, której najczęściej używa. Czytelnicy nasi znają go jako tłumacza prześlicznym wierszem z różnych języków, był on redaktorem po dwakroć pism humorystycznych i jest dziś u nas najznakomitszym humorystycznym pisarzem, ten humor jego rozlany jest w większej części jego powieści i dodaje im tem ponętniejszej okrasy. Sabowski był po trzykroć redaktorem pism politycznych. Pisał wiele recenzji i rozbiorów słowem wszelkiemi sposobami pracuje nad budzeniem życia w strasznie zziębniętem i obumarłem dzisiejszem społeczeństwie. Obecnie pracuje nad większych rozmiarów pracą historyczną.

Według naszego zdania największą zasługą Sabowskiego jest to, że jest czytanym, że książki jego obiegają tysiące rąk. W dzisiejszych czasach jest to fenomenem.

Nie będziemy tu podawać szczegółów jego życia, gdyż podany został życiorys w IV zeszycie *Mrówki*, ani też wdawać się w rozbiór prac jego, obszerniejszą bowiem rozprawę podaje *Dziennik literacki*.

A. D. Bartoszewicz.

KARCZMA W LESIE.

OPOWIADANIE.

SPISAŁ

WOŁODY SKIBA.

(Dokończenie).



Kasztan dobywał ostatnich wysileń; z nozdrzy i pyska spływała mu biała piana. Zdał się pędzić jak wiatr, nogami nie dotykał ziemi. Gdyby nie chrapanie dziwne, które co czas powien wydawał, nie czułbym że mnie niesie, chyba po migających w moich oczach drzewach. A przecież mnie się zdawało ciągle, że bieg jego wolniał i ustawał, bo nieprzyjaciel był co chwila bliżej.

Nie jestem tchórzem Dzieckiem już będąc dałem dowody rezygnacji, zdania się na los i odwagi. Mam jednak żywą wyobraźnię i jeśli co na nią oddziaływa, łatwiej pokonywa moją odwagę niż bój wstępny. Otóż i tutaj do rzeczywistego niebezpieczeństwa łączyła się gra wyobraźni, która mi je daleko straszliwszem przedstawiała, niżby może było w istocie, gdybym potrafił sobie radzić i przesadzonym nie poddawał się obawom.

Las zdawał się nie mieć końca. Sądziłem, że ścigany przez wilki pędzę na mym kasztanku godziny całe, chociaż nie wiem czy kwadrans upłynęło od pierwszego ujrzenia ścigającego mnie stada — gdy mój koń potknąwszy się o kamień padł na ziemię, a ja zrzucony przez łeb jego, zwaliłem się na piasczysty wzgórek.

Wilki były zbyt blisko żeby można było myśleć o podniesieniu kasztanka, którego siły zresztą były już zupełnie wyczerpane i o puszczeniu się na nim w dalszą drogę.

Jedyny ratunek pozostawał w zachowaniu dosyć obronnej pozycji do jakiej mnie los zwalił i w pistoletach, które miałem z sobą. Były one wprawdzie nabite, ale przez dziwną nieopatrzność nie wziąłem do nich więcej nabojów. Rozporządzałem tedy dwoma tylko strzałami; ręka moja lepiej władająca pędzlem niż bronią była niepewna, a broń w jaką byłem zaopatrzony niezna-

na mi zupełnie i w krótkiej tylko odległości skuteczna, w mej dłoni mogła być na bardzo niewiele przydatną. Zresztą byłem cokolwiek zasłonięty przez naturalny wał jaki stanowiło małe wzgórze, za którem się znajdowałem i przez ciało kasztana, który wiernie mi służąc do ostatniej chwili, miał teraz oddać życie, ażeby odwlec na mgnienie oka tylko może, grożące niebezpieczeństwo.

Wilki nadbiegły szybko na miejsce gdzie tak słabo ufortyfikowany, bronić się miałem przeciw kilkunastu napastnikom dwoma strzałami i dwojgiem rąk, które po zużyciu tych strzałów zupełnie zostawały bezbronne.

Pierwszym strzałem ugodziłem w pierwszego z napadającej gromady, który przyskoczył i chciał szarpać bezwładne ciało mego dogorywającego wierzchowca.

Strzał był celny nadspodziewanie. Wilk zatrzymał się w miejscu, potem cofnął parę kroków, zawył i padł na śnieg.

Klęska ta jednak nie wstrzymała innych. Drugi wilk miał za chwilę zacząć to samo, co się pierwszemu nie powiodło.

Zostawał mi tylko jed n strzał. Rostropność radziła może zachować go na ostatnią chwilę, gdy mnie samemu nieuniknione zagrozi niebezpieczeństwo; w takiej chwili jednakże jaką przebywałem wówczas, nie słucha się rad i rozwag.

Pociągnąłem za cyngiel i w tej samej chwili uczułem dziwny ból w nodze. Ręka mi drgnęła, a z nią i pistolet, wystrzał padł, lecz bez szkody dla wilków.

Byłem bezbronny.

Błyskawicznym rzutem oka chciałem się przekonać, co było przyczyną bólu jakiego doznałem w chwili strzelania, bólu co konwulsyjnie wstrząsnął moją ręką i sprawił, żem chybił strzelając.

Ten piorunowy rzut oka pokazał mi całą doniosłość grożącego mi niebezpieczeństwa.

Podczas gdy jedne z wilków wstępnym bojem rzucały się na konia, kilka innych obiegło wzgórek, który mnie zasłaniał i z tyłu uderzało na mnie.

W chwili wystrzału, jeden z nich szarpnął mnie za nogę.

Widząc się obskoczonym przez wilki, bezbronny, nie przewidując znikąd najmniejszej nadziei ratunku, traciłem przytomność; czułem że mi krew w żyłach zamiera, że mi tchu w piersi brakuje, omdlałem z przerażenia i padłem bezwładny na ziemię.

Niech ten kto nigdy w życiu nie zadrżał, nazwie mnie tchórzem i rzuci na mnie wyrok potępienia.

Ostatnie wrażenie jakie padając bezprzytomny zdołałem zapamiętać, było zupełnie takież samo jak owo, którego doznałem dwanaście lat przedtem, w tym samym lesie, a może nawet na tem samem miejscu. Zdawało mi się, że zimny język zwierzęcia dotykał mojego policzka....

Była już noc, gwiazdy iskrzyły się na niebie, księżyc majestatycznie unosił się po nad lasem, kiedy otworzyłem oczy i przyszedłem do przytomności.

Zrazu nie pojmowałem gdzie jestem, dopiero poszarpane ciało kasztana, oświetlone przedzierającemi się przez gałęzie drzew promieniami księżyca, przypominało mi całą scenę, której byłem aktorem.

Próżno łamałem głowę, aby zrozumieć co mnie ocaliło, byłem bowiem zdrów i cały i dziwiłem się temu radośnie. Tylko w prawej nodze czułem wielki ból od pierwszego dotknięcia zębów wilczych — ból, który mi pozostał jakby na świadectwo, że nie z sennem widziadłem, lecz z rzeczywistemi wilkami miałem do czynienia, inaczej bowiem nigdybym temu nie uwierzył.

Na wszystkie zapytania jakie sobie zadawałem pragnąc pojąć co mnie zachowało przy życiu, jeden tylko wyraz: „Opatrzność“ był odpowiedzią.

Że jednak człowiek stara się zawsze wszystko nadzwyczajnie po ludzku sobie tłumaczyć, więc i ja także pótym badał i dumał póki nie wpadłem na myśl, która mi się zdawała prawdopodobną.

Myśl ta nie była nową, była ona echem historji starożytnego Androklesa, którego rzucono na poszarpanie lwu zgłodniałemu, a lew go ruszyć nie chciał, przez wdzięczność za wyświadczoną mu dawniej przysługę. Tysiąc innych historji o wdzięczności zwierząt, które mi się przypominały jedna po drugiej, przemawiało za możliwością mego przypuszczenia, tak że bez względu na zarzuty jakie temu domysłowi zrobićby można, byłem najmocniej przekonany, że był prawdziwym...

— Ocaliłem kiedyś wilczycę — myślałem,— któż wie, czy nie jej teraz życie zawdzięczać powinienem?

Czy tak było?... czy zwierzę po dwunastu latach mogło pamiętać i poznać swego wybawcę, którego raz tylko widziało?... czy wilczyca mogła żyć tak długo?... czy miałaby tyle mocy, ażeby nie tylko sama mnie nietknęła, lecz jeszcze ocaliła przed zgłodniałem stadem wilków rozdrażnionem śmiercią jaką jednemu z nich zadałem?... Na to wszystko odpowiedzieć nie umiałem i nie siliłem się. Wolałem wierzyć, że wdzięczność zbyt jest pięknem i zbyt wszystkiemu co żyje wrodzonem uczuciem, ażeby go nawet wilki znać nie miały, choć często zapominają o niem ludzie.

Ocalony tak niespodziewanie, tak cudownie prawie, bez najmniejszej już obawy, pewny że mi się nic złego stać nie powinno i nie może, bo inaczej na cóż byłoby potrzebne wyrwanie mnie chwilowo niechybnej śmierci, — zacząłem

rozglądać się po lesie, pragnąc znaleść przytułek i kąt na resztę nocy.

W pewnej niebardzo dalekiej odległości zamigotało światełko, skierowałem się więc ku niemu najkrótszą drogą przez zarośla.

Wkrótce byłem już tak blisko miejsca zkąd światło wychodziło, że mogłem je objąć spojrzeniem dzięki miesięcznej nocy, co pozwalała dobrze rozróżniać przedmioty.

Serce mi zabiło mocniej, gdym zobaczył z drugiej strony gościńca domostwo. Poznałem je odrazu: była to karczma, z której mnie niegdyś mój ojczym wypędził. Tym sposobem niespodziewanie zupełnie, znajdowałem się u kresu mojej podróży.

Zapukałem do okna; wkrótce otworzono mi drzwi i przy świetle łojówki, ujrzałem postać nieznajomej mi kobiety, na której widok przejęła mnie dziwna, instyktowa jakaś odraza.

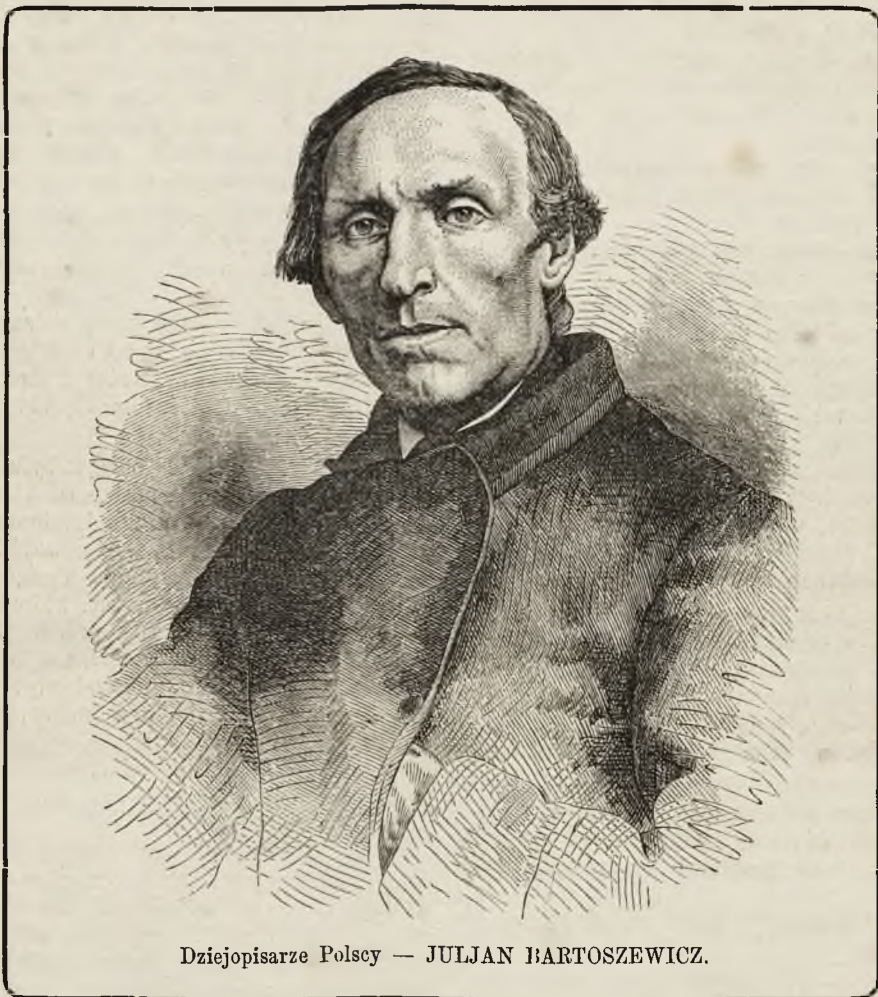
Karczmarka była kobietą trzydziesto-kilko letnią, nie brzydką jeszcze, lecz coś niemiłego miała w spojrzeniu.

Zażądałem noclegu i posiłku; jedząc co mi podano, zacząłem z karczmarką rozmowę, pytając jej czy nie pamięta dawniejszego w tym samem miejscu karczmarza Marcina Wilka.

— Marcin Wilk... to mój stary — odpowiedziała.

— Więc mu pierwsza żona umarła? — zapytałem.

— O!... to jegomość widzę z dalekich stron — odrzekła na to druga małżonka mojego ojczyma, — tać przecie temu jedenaście lat... Już jest dziesięć jakeśmy się pobrali, a nasz mały Jasiek ma dziewięć.



Dziejopisarze Polscy — JULJAN BARTOSZEWICZ.

Opowiedziałem Wilkowej, że byłem pasierbem jej męża.

— Aha! juści — zawołała, — tamtego wilki zjadły.

Próżno dowodziłem i przekonywałem, Wilkowa wierzyć nie chciała.

— Patrzajcie — mówiła z gniewem, — możeście tu przyszli upominać się o to co zostało po ojcach tamtego Jaśka?.... oho!... nic z tego... Aniście wy ten sam, ani tu dla was nie ma nic!...

— Ależ ja o nic upominać się nie myślę—

odrzekłem — Bogu dzięki mam z czego żyć, mam nawet pieniędzy dużo, a to co tam po moich rodzicach zostało, chętnie waszemu dziecku daruję.

— Co wy nam tu darowywać będziecie, to co nasze — dąsała się karczmarka, — nie potrzebujemy takiego dobrodzieja z szerokiej drogi, co piechotą w nocy chodzi po lesie... Patrzajcie!...

Nie mogąc inaczej utulić gniewu i pozyskać przyjaźni Marcinowej, na nowo ją zapewniłem, że nie tylko do mojej schedy najmniejszej nie mam pretensji, ale nawet tem co posiadam zamierzyłem się podzielić z moim ojczymem, pragnąc mu się choć w części wywdzięczyć za chleb, który u niego jadłem.

Uspokoiło to i udobruchało cokolwiek Marcinową, zwłaszcza gdym na dowód prawdy słów moich pokazał jej portmonetę dobrze wyładowaną pieniędzmi.



WSCHÓD SŁONCA.

Spojrzała na te pieniądze tak pożądliwie, tak brzydko, że aż się przeląkłem jej wzroku, w którym coś było wilczego.

— No i ileż myślicie dać dla mego Jasia— rzekła — jeżeli powiem żem ja wasza macocha, a on wasz brat?...

Wilkowa jak się przekonywałem, gotową była sprzedać mi swoje macoszeństwo i dać mi jeszcze brata przyrodniego w dodatku, chociaż z tym nowym bratem ani kropelki krwi wspólnej nie miałem.

Nie myślałem zbyt drogo opłacać tego faworu, nowa bowiem macocha chciwością swoją bardzo na mnie niemiłe zrobiła wrażenie. Postanowiłem sobie zatem, że pieniądze którem przeznaczył dla ojczyma, a który poprawdzie był mi takim ojczymem jak ta nowa macocha macochą, ale który zawsze był moim opiekunem przez kilka lat dzieciństwa, oddam jemu samemu gdy go zobaczę, z Wilkową zaś zamierzyłem ułatwić się tanim kosztem.

— Ha! cóż... z piętnaście rubli — rzekłem uśmiechając się.

— A więcej nie możecie?...

— No trzydzieści.

— Więcej...

Wilkowa targowała się nieźle i honoru zrobienia kogoś swoim pasierbem nie chciała zbywać zbyt tanio.

— Nie mogę — odpowiedziałem.

— No, to dawajcie już trzydzieści.

Wyłożyłem na stół trzydzieści rubli; Wilkowa porwała je tak szybko, jakby się bała żebym nie cofnął układu, zamknęła do skrzynki, kluczyk schowała, a potem przyszła do mnie, wzięła mnie za głowę, przytknęła do niej usta jakby mnie całowała, lecz w tym pocałunku nie było serdecznego ciepła i zaczęła mówić tym głosem, jakim często dewotki recytują różańce, głosem pozbawionym wszelkiego uczucia, suchym i jednostajnym jak grzechotka.

— O mój ty Jasiczku!... ja to zaraz przeczułam, że ty pasierb mego Marcina. Już ja mam takie macierzyńskie serce i będę ci macochą lepszą jak matka, lepszą jak dla mego własnego Jaśka.

Dziwnie przykre wrażenie robiła na mnie ta komedja, za odegranie której, zapłaciłem dosyć drogo, chciałem więc ją przerwać co prędzej.

— A gdzież mój ojczym? — rzekłem.

— Marcin wyjechał na jarmark i pewno nie powróci aż rano.

— No, to pościelcież mi gdziekolwiek — odpowiedziałem. — bo gwałtownie potrzebuję wypocząć. Jutro rano zobaczę się z ojczymem, a potem zaraz powrócę do siebie.

Macocha za trzydzieści rubli kupiona, wykonała moje życzenie.

Strudzony podróżą i doświadczonemi wraże-

niami usnąłem wkrótce, sen miałem jednak niespokojny i przerywany. To mnie ścigały wilki, to nowa macocha patrzyła na mnie brzydszemi od wilczych oczyma, to świeżo zakupiony brat zdawał mi się zbliżać do łóżka, wyrastał w olbrzyma, chwytał mnie za gardło i dusił. Chwilami nie wiedziałem czy jestem we śnie czy na jawie, chciałem mówić alem głosu z piersi wydobyć nie mógł, chciałem oczy przetrzeć lecz ręką ruszyć nie byłem zdolny. Stan mój był ciężki i męczący.

W jednej z takich chwil półsennego obezwładnienia, zdawało mi się, że Wilkowa zeszła do komory, w której miałem posłanie, z kagankiem w ręku, z rozrzuconemi w nieładzie włosami, w zaniedbanym brudnym ubraniu, z jakimś młotem drewnianym w ręku, rodzajem obucha do bicia wołów.

Postawiła kaganek na podłodze, podeszła ku mnie, posłuchała czy śpię.

Miałem oczy zmrużone, lecz ją widziałem, czułem jej oddech, chciałem jej nawet coś powiedzieć, lecz w stanie bezwładności w jakim się znajdowałem, nie mogłem zrobić ruchu ani wymówić wyrazu.

Później wzięła swój obuch i wzniosła go nad moją głową.

Widziałem i to; sądziłem, że go chce położyć na półce, która znajdowała się nademną.

Widziałem jeszcze jak jej ten obuch wypadał z rąk, całym ciężarem zwalając się na moją głowę. Coś mi w niej zaszumiało, zatrzeszczało, lecz nie czułem żadnego bólu.

Później miałem sen twardy i nic już więcej nie pamiętam.

Gdym się obudził było mi strasznie zimno. Chciałem się okryć czemkolwiek machinalnie i poruszając ręką zawadziłem o coś twardego.

Niedługo potem zrozumiałem, że śpię na śniegu przykryty kupą gałęzi.

Z niemałem wysileniem wygrzebałem się z pod nich i stanąwszy rozpatrzyłem się dokoła.

Gwiazd już nie było na niebie, księżyc zaszedł oddawna. Na wschodzie blada jasność zapowiadała wschód słońca. Dokoła mnie stały wyniosłe drzewa dobrze znajomego mi lasu. Z po za nich w pewnej odległości rysowała się szaro karczma mego ojczyma.

Przypominałem sobie co się zemną dziać mogło. Spostrzegłem, że nie miałem zegarka ani pieniędzy. Ostatni sen jaki pamiętałem jeszcze, stanął mi przed oczyma. Pod ciemieniem czułem okropny ból. Zrozumiałem wszystko.

Źle bywa człowiekowi, gdy mu los mimo jego woli da macochę, lecz gorzej jeszcze gdy ją sobie kupi.

Nie wiele myśląc, poszedłem ku karczmie.

Wilkowa już była na nogach i wychodziła właśnie przed dom, gdym niespodzianie stanął przed nią.

— Jezus, Marja! — zawołała poznając mnie i stanęła jak skamieniała.

— Cicho—rzekłem,—Marcin przyjechał?

— Przyjechał — odpowiedziała drżąca jak listek Wilkowa.

— Dajcie mi klucz od skrzynki— mówiłem dalej.

Wilkowa słuchała mnie tak, że zdawało się, iż byłaby natychmiast wykonała gdybym jej powiedział: Skocz w płomień.

Otworzyłem do skrzynki.

Na wierzchu samym leżały moje pieniądze i mój zegarek. Zabrałem je.

— Teraz oddajcie trzydzieści rubli—rzekłem znowu do bladej jak ściana kobiety, — nie chcę waszego macoszeństwa.

W milczeniu wykonała mój rozkaz.

— Dobrze... macie klucz... a teraz gdzie wasz mąż?

Wskazała miejsce oczyma i gestem. Słów jej brakowało.

— Wyjdźcie ztąd--rzekłem do niej, nie mogąc dłużej przenieść widoku jej przerażenia.

Wilkowa wyszła chwiejącym się krokiem.

Obudziłem Marcina, zacząłem z nim rozmawiać, przypominałem mu się.

Uściskał mnie stary i rozpłakał się nademną.

Po dość długiej rozmowie, opowiedziałem mu w jakim celu przybyłem i oddałem mu pieniądze, jakie przeznaczyłem dla niego.

O całem zajściu z Wilkową nie wspominałem ani słowa.

Dzień się robił coraz jaśniejszy. Marcin spostrzegł krwawą bliznę na mojem czole.

— Co to? — zapytał.

— Przypadek—odrzekłem.

Wiedząc jaką straszną torturą każda dalsza chwila mego pobytu musiała być dla Wilkowej, nie chciałem przedłużać mego pobytu w karczmie.

Pożegnałem Marcina i zabrałem się do wyjścia.

— Nie chcesz poznać mojej żony?—zapytał mnie na odchodnem.

— Już ją znam — odpowiedziałem.

Gdym wychodził, zobaczyłem raz jeszcze Wilkową.

Stała w osłupieniu oparta o ścianę domostwa. Oczy jej kołem stojące patrzyły przed siebie i zdawały się nic nie widzieć.

Mnie przecież spostrzegła, a spostrzegłszy wydała straszliwy krzyk i padła jak kamień na ziemię...

Krzyk ten obudził mnie na prawdę.

Zerwałem się na równe nogi przetarłem oczy i zobaczyłem się w tej samej bryczce, którą wyjechałem z rana. Michał siedział na koźle i zwracał właśnie niewyprzężonego ani na chwilę kasztana przed karczmą mojego ojczyma.

Nie chciałem wierzyć własnym oczom. Nim pojąłem, że wszystko to, czegom doświadczył od

spadnięcia z kozła Michała, było sennem marzeniem, zdawało mi się, że dopiero to co teraz spostrzegłem snem było.

Zacząłem się dotykać siebie rękami. Ciało miałem zdrowe i nietknięte. Przy piersiach ręka natrafiła na coś twardego, był to pistolet.

Porwałem go i wystrzeliłem w powietrze.

Pistolet dał ognia i to mnie przekonało, że z niego nie strzelałem wcale.

Huk wystrzału wywołał z karczmy mieszkańców.

Wkrótce około bryczki mojej zbiegli się wszyscy, Marcin Wilk mój ojczym, Wilkowa nie ta o której mi się śniło, lecz moja pierwsza, jedyna, poczciwa, rzeczywista macocha. Zamiast dziewięcio-letniego Jaśka, o którego przyrodnie braterstwo targowałem się we śnie, kręciło się w koło nich pięcioro drobnej dziatwy. Najstarszy brat miał lat jedenaście, najmłodsza siostrzyczka trzy lata.

W przód jeszcze nim zdążyłem powiedzieć kto jestem, zacząłem ich ściskać po kolei. Z oczu płynęły mi łzy szczęścia, a oni spoglądali na mnie zdziwieni jak na człowieka niespełna rozumu, co wystrzałem donosi o swojem przybyciu i z ludźmi nieznanemi się ściska.

Wkrótce poczciwi Wilkowie przyjmując mnie serdecznie, słuchali mojej historji, a kiedym mówił o planecie i sen jaki miałem w drodze opowiedziałem, mój ojczym się odezwał:

— Ot, tak to bywa, jak człowiekowi dzieckiem ludzie głupstwem głowę nabiją, to chociaż rozum potem z głowy mu te głupstwa wypędzi, jeszcze go one czasem we śnie niepokoją.

Kawał czasu upłynęło od tej chwili. Nie miałem później żadnego zajścia z wilkami, planeta więc bredziła jak zwykle planeta... a czy dożyję do liczby lat jaką mi przepowiedziała, to już jest w mocy Boga, nie w znaku Barana.

KONIEC.

O WSCHODZIE SŁOŃCA.

Rankiem jasnego słonka promyczek się schronił
W szmaragdową gęstwinę, kędy, śród zieleni,
Krwawemi jagodami berberys się płonił,
A wonny jaźmin, złotem słonecznych promieni,
Malował białe kwiaty — kędy strumyk dzwonił
Po kamykach swą piosnkę, ginąc gdzieś śród cieni —
A modrych niezabudek i konwalji białej
Sperlone rosą główki w nurt jego patrzały.

Była to cicha ustroń... Gdy w blaskach pogody
Śmiało się niebo czyste — śmiechem mu wtórzyła,
A kiedy żar słoneczny piekł ją — na nią chłody
Rzeźwiącemi tchnął zefir, i tylko marszczyła
Wtedy swe jasne czoło, gdy strugami wody
Brzemienna czarna chmura cień na nią rzuciła.
Była to cicha ustroń... cicha, jako tonie
Oceanu, gdy nad nim jasna zorza płonie.

Na ziemi się rozścielał, z traw i ziół uwity
Kobierzec, łzami rosy po wierzchu skropiony,
A w górze, ponad ostre ciemnych jodeł szczyty,
Otchłań nieba, błękitna, jak turkus stopiony;
I jeszcze wyżej, we mgły poranku spowity
Konał księżyc, przedśmiertnem cierpieniem zbledzony...
Drżący promyczek słońca jasną smugą blasku
Całował dno strumyka — potem legł na piasku.

Srebrnolistne olszyny, łącząc u sklepienia
Smukłe, wiotkie gałęzie, płaczące konary,
Były niby świątynią: u szczytu złocenia
Cudnych rzeźb dało słońce — środkiem szły filary;
Mgła sina w krąg wionęła, jak kadzideł tchnienia,
A szmer wody był dzwonkiem przy akcie ofiary..

. . . .

O naturo! cześć tobie... przed tobą się korzy
Człowiek, gdy twarz ci martwą ożywi Duch Boży...

Wiktor Gomulicki

WIADOMOŚCI HYGJENICZNO-LEKARSKIE.

(Dokończenie).

Gdy pozornie zmarły przyjdzie do przytomności i może połykać podaje się mu łyżkę wina lub nieco wódki, a najlepiej trochę gorącej kawy czarnej lub herbaty. Chorego umieszcza się w łóżku i pozostawia w pokoju, aby się mógł przespać. Chory przywrócony do życia, powinien pozostać czas jakiś w miejscu, w którem odbywał się ratunek, zawczesne bowiem przenoszenie pociągnąć może za sobą szkodliwe następstwa.

W żadne dalsze leczenia nikt prócz lekarza nie powinien się wdawać, bo się na niem nie rozumie i łatwo może zaszkodzić choremu.

Taki jest ogólny sposób ratowania osób na pozór zmarłych w skutek:

a) Utopienia;
b) Powieszenia lub zaduszenia;
c) Zaczadzenia lub uduszenia szkodliwymi wyziewami;
d) Uduszenia w skutek przysypania lub zgniecenia;
e) Rażenia piorunem i
f) Zmarznięcia.

W tym ostatnim razie zachodzi ta tylko odmiana, iż zanim się przystąpi do sztucznego oddychania trzeba naprzód, aby ciało odtajało w miejscu zimnem na wolnem powietrzu.

W tym celu pokrywa się całe ciało zmarzniętego cienką warstwą śniegu lub prześcieradłami zmaczanemi w zimnej wodzie. Skoro członki nabiorą zupełnej giętkości przenosi się zmarzniętego do zimnego pokoju i postępuje się według opisanego sposobu.

Sztuczne oddychanie jest powszechnym i najskuteczniejszym środkiem do ratowania osób na pozór zmarłych. Do takiego ratunku nie potrzeba żadnych przyrządów, ani lekarstw, w skutek czego każdy zawsze i wszędzie może z łatwością nieść pomoc w nagłym przypadku aż do przybycia lekarza. Dawniejsze instrukcje ratowania zamarłych nie obejmują sztucznego oddychania, lecz natomiast radzą, aby wdmuchiwać powietrze do płuc chorego, taka rada jest szkodliwą a nawet niebezpieczną,

gdyż przez wdmuchiwanie powietrza wpędzamy śluz do drobnych przewódków oddechowych i przez to utrudniamy oddychanie, co więcej, sprawić nawet możemy rozerwanie czyli pęknięcie pęcherzyków płucowych. Ratowanie za pomocą sztucznego oddychania mało jest u nas znane. Byłoby przeto rzeczą pożądaną, aby nauczyciele ludowi, księża i ludzie wykształceni w ogóle starali się o rozpowszechnianie tego sposobu między ludem.

Przesąd króluje u nas wszędzie nad wymaganiami nauki i zdrowego rozsądku. Do walki z nim wzywa nas postęp i cywilizacja. I przy ratowaniu obumarłych ciemnota rozpościera swe panowanie. Często widzieć można, iż topielca naprzykład stawiają na głowę niby dla wylania z niego wody, albo przeciągają go na beczce. W innych razach rażonego piorunem zakopują w ziemię. Takie postępowanie przyspiesza tylko śmierć prawdziwą, osoby którą ratujemy. Szczególnie zwracamy uwagę czytelników na rozpowszechniony u nas zwyczaj puszczania krwi przy ratowaniu pozornie zmarłych. Bez puszczenia krwi całkiem się można obejść. Upusty krwi szkodzą zazwyczaj obumarłemu i sprowadzają śmierć rzeczywistą. Najlepiej więc będzie jeżeli w nagłych wypadkach pozornej śmierci zaniechamy wszelkich środków zalecanych przez prostaczków i przystąpimy do ratowania podług opisanego przez nas sposobu za pomocą sztucznego oddychania.

Uczucie ludzkości i względy bezpieczeństwa powszechnego skłoniły rządy do zwrócenia uwagi na pomoc jaką nieść należy w nagłych wypadkach. W Austrji podobnie jak w innych krajach istnieją wskazówki dla nie lekarzy do ratowania osób pozornie zmarłych wydane przez ministerstwo spraw wewnętrznych. Pierwsza taka instrukcja ogłoszoną została w r. 1799, ostatnia zaś w r. 1858. O tej instrukcji, nawiasem mówiąc przestarzałej i nie odpowiadającej celowi, nikt nie wie, gdy tymczasem podobne wskazówki powinny być wywieszone we wszystkich miejscach publicznych, zakładach naukowych i urzędach gminnych, w kształcie tablic treściwie ułożonych, wydrukowanych czytelnym drukiem i objaśnionych odpowiednimi rysunkami. Czuwanie nad rozpowszechnieniem tego rodzaju wiadomości stanowi jeden z obowiązków władz rządowych i szkolnych. Życzyćby więc należało, aby takie do ratowania osób zamarłych lub nagłą utratą życia zagrożonych znajdowały się we wszystkich gminach i szkołach. Wydział krajowy i Rada szkolna z łatwością mogłyby tej potrzebie zaradzić.

Oprócz tego po miastach w różnych dzielnicach i przy urzędach gminnych powinny znajdować się tak zwane zakłady do ratowania osób pozornie zmarłych lub osób uległych uszkodzeniom ciała, w których daje się pierwsza pomoc, zanim chorego odwiezie się do szpitala. U nas tego wszystkiego nie ma. O urządzeniu podobnych zakładów innym razem pomówimy.

Dr. Lutostański.

WIADOMOŚCI W GOSPODARSTWIE POŻYTECZNE.

Wędlina.

Chcąc mieć bardzo smaczną wędlinę, bierze się zaraz po zabiciu bydlęcia mięso do wędzenia przeznaczone, kładzie się w roczyn z 1 części sproszkowanej saletry i 32 części soli kuchennej a obmaczawszy dobrze, obsypuje się po wyjęciu na około otrębami żytnemi tak, ażeby jak najwięcej ich pozostało na mięsie przyczepionych, i zawiesza się następnie nad dymem w okładce cienkiej z papieru do druku, albo też i bez takowej. Otręby chronią mięso od przypalenia dymem a zarazem zapobiegają zbytecznemu wysuszeniu go przez gorąco. Tym sposobem uwędzone mięso ma przybrać kolor podobny do wędzonego łososia, smakować daleko lepiej, niż zwyczajnie wędzone, i trzymać się bardzo długo.

Palenie kawy.

Doktór Langbein w prelekcjach swoich chemicznych w Berlinie, mówi co następuje: Skład kawy przez palenie, wielkiej ulega zmianie; rogowata masa staje się proszkowatą, garbnik, cukier i tłuszcz w części ulegają zniszczeniu a olejek kawowy ulatuje w powietrze. Ponieważ jedynie ten olejek wpływa na aromat kawy, aby więc w kawie takowy zatrzymać należy chleb pokrajany w kostkę wrzucić do piecyka i razem z kawą upalić. Chleb na podobieństwo gąbki przyciągnie do siebie olejek i nie pozwoli się mu ulotnić. Chleb upalony miele się razem z kawą i nadaje jej zapach przedtem nieznany. Na $^3/_4$ funta kawy daje się $^1/_4$ mocno wysuszonego chleba. Po upaleniu, zamyka się kawę o ile można w szczelnych naczyniach.

J. P.

Sprawy Wydawnictwa.

Z tym numerem wydawnictwo *Towarzysza* zostaje zawieszonem. Przyczyną tego jest to, że obecna chwila jest nie korzystną dla podobnego rodzaju wydawnictw, publiczność jest zajęta przeważnie polityką i wszystkie umysły zwrócone na zachód gdzie dzieją się barbarzyństwa — jakich dzieje ludzkości nie pamiętają. Zmuszeni jesteśmy ograniczać się w wydawnictwach w miarę środków.

Nie rozliczamy się z Szanownymi prenumeratorami za numera, które powinniby do końca roku otrzymywać, gdyż mamy nadzieję, że po nowym roku wydawnictwo dalej poprowadzimy, co gdyby nie nastąpiło, prenumeratorowie otrzymają odpowiednie wynagrodzenie w książkach.

Bibljoteki Mrówki został już rozesłany 26 tomik, następny zawierający Romana Zmorskiego: *Lesław* z końcem b. miesiąca będzie rozesłany. Poczem wyjdzie dwutomowa powieść Pauliny Wilkońskiej: *Mrowin i Trock*, a dalej również dwutomowa powieść Hofmanowej *Jan Kochanowski w Czarnolesiu.* Czy jeszcze co wypadnie do tej II serji dodać, nie umiemy w tej chwili powiedzieć.

Wydawca i odp. redaktor: August L. Skerl. Z drukarni K. Gromana i sp. pod zarządem A. Skerla.